



ROZDZIAŁ

Sierp księżycy schował się właśnie za zachodni horyzont, gdy spomiędzy drzew wyłoniło się dzieśnięciu jeźdźców. Jechali przed siebie, dopóki nie znaleźli się na szczycie wzgórza, z którego rozpościerał się widok na Zamek Araluen. Jeździec pośrodku uniósł dłoń w geście nakazującym zatrzymanie się. Grupa konnych ściągnęła wodze, by przyjrzeć się zamkowi. Konie parskały niecierpliwie – wyczuwały, że ta potężna budowla oznacza schronienie, wodę i paszę.

Jeździec po prawej tego, który dał sygnał, pochylił się w siodle, uważnie studiując teren, który przyjdzie im pokonać. Stok opadał łagodnie, a potem znowu zaczynał się wznosić. Gdzieniegdzie porastały go kępy drzew, tu i ów-

dzie widniały cieniste altany, ale nie zapewniały one schronienia. Każdy obserwator bez trudu dostrzeże jeźdźców.

Zawsze należało zakładać, że istnieje jakiś obserwator. Teraz jednak błonia wydawały się całkowicie puste. Jeśli ktoś miałby ich obserwować, byłby to człowiek z zamku, tam zaś spodziewano się tej niewielkiej grupki uzbrojonych mężczyzn.

Większość okien była ciemna – nic dziwnego, zważywszy na późną porę. Wzdłuż murów, w regularnych odstępach, ustawiono kosze z żarem, zaś po obu stronach bramy, zamkniętej teraz i zaryglowanej w ochronie przed intruzami, migotały pochodnie.

– Wszystko wydaje się w porządku, panie – ocenił cicho jeździec.

Mężczyzna obok niego skinął głową.

– Tego bym się spodziewał, nawet jeśli nie wszystko jest w porządku.

Obaj mówili po galijsku. Po chwili na murach powyżej ogromnej bramy i mostu zwodzonego wywieszono latarnię, która zalała żółtym światłem granitowe ściany.

– A oto i sygnał – powiedział przywódca. Odwrócił się do jeźdźca po prawej stronie. – Odpowiedz im, Julesie.

Mężczyzna, do którego się zwrócił, miał przygotowaną podpałkę i krzesiwo, a także latarnię przypiętą do siodła. Potrzebował chwili, by rozpalić garść podpałki i przysunąć płomyk do knota. Potem zamknął szybkę zrobioną z niebieskiego szkła i podniósł wysoko latarnię, a niebieski blask oświetlił małą grupę.

Kilka sekund później światło na murach zamku poruszyło się powoli z lewej w prawą i z powrotem, po czym powtórzyło ten ruch trzy razy.

– To oznacza, że droga wolna – oznajmił przywódca. Szturchnął ostrogami konia i ruszył naprzód. Pozostali jeźdźcy podążyli za nim, rozdzielając się na dwie kolumny za przywódcą i rycerzem, który odezwał się jako pierwszy.

Poruszali się wolnym kłusem, kopyta koni prawie bezdźwięcznie uderzały w miękką ziemię. Kiedy znaleźli się u stóp zamkowego wzgórza i ruszyli pod górę, wierzchowce nieco zwolniły, więc jeźdźcy musieli je pogonić. Usłyszeli głośny klekot ogromnego mechanizmu, a na szczycie bramy pojawiła się świetlista szpara, coraz szersza, w miarę jak most zwodzony opuszczał się coraz niżej.

Wielkie przęsło uderzyło z łoskotem o ziemię, gdy jeźdźcy byli od niego oddaleni o jakieś trzydzieści metrów. Widzieli, że krata nie została jeszcze podniesiona i zagraża wjazd na zamkowy dziedziniec. Jeźdźcy na przedzie grupy zbliżyli się do krawędzi mostu i zatrzymali konie.

Z małej furtki z boku kraty wyszedł mężczyzna w zbroi, z halabardą i długim mieczem u pasa. Kiedy nieco się zbliżył, jego zbroja zaśniła lekko w świetle pochodni po obu stronach przejścia.

Przywódca jeźdźców popatrzył na potężne ciemne ściany wznoszące się nad nim. Nie miał wątpliwości, że znajdują się w zasięgu strzału kilku łuczników uzbrojonych w długie łuki, jakich używano w Araluenie zamiast kusz. Z pewnością byli strzelcami wyborowymi.

Zbrojny zatrzymał się o kilka metrów od oddziału.

– Czy znacie hasło? – zapytał cicho.

Jeździec na czele poprawił się lekko w siodle.

– *Pax inter reges* – powiedział w starożytnym języku. „Pokój między królami”.

Wartownik skinął głową, odwrócił się w stronę zamku i podniósł prawą rękę, dając sygnał żołnierzom przy kracie. Potężna konstrukcja powoli zaczęła się podnosić przy akompaniamencie szczęku łańcucha w wartowni. Kiedy znalazła się dostatecznie wysoko, zbrojny gestem zaprosił jeźdźców do środka.

– Możecie wjechać – powiedział.

Kopyta koni zadudniły na deskach mostu, gdy jeźdźcy, nadal w dwóch kolumnach, ruszyli przed siebie stępą. Na brukowanym dziedzińcu odgłos kopyt rozbrzmiewał już inaczej. Z obu stron obserwowali ich uzbrojeni żołnierze. Jeden z nich, z insygniami sierżanta, wskazał drzwi donżonu, masywnej kamiennej budowli wznoszącej się pośrodku dziedzińca. Kiedy to zrobił, wrota na parterze otworzyły się, a zza nich wylała się złocista poświata pochodni.

Nowo przybyli podjechali w tamtym kierunku i zsiadli z koni, które oddali w ręce czekających w gotowości służących, by je nakarmili i oporzadzili. Przywódca grupy przycisnął dłoń do krzyża. Odzwyczał się już od tak długiej jazdy, a teraz miał za sobą czterogodzinną podróż.

Mężczyzna, który otworzył drzwi, wyszedł na dziedzińiec i skłonił się lekko. Siwowłosy i dystyngowany, miał na sobie eleganckie i kosztowne ubranie.

– Witamy w Zamku Araluen. Jestem lord Anthony, królewski szambelan – powiedział. Ton jego głosu był neutralny, ani zachęcający, ani wrogi. Gość skinął mu głową w milczeniu. Anthony odsunął się na bok i gestem wskazał drogę. – Proszę tędy.

Przywódca grupy wspiał się po schodach, a szambelan ruszył za nim, trzymając się z boku. Pozostali poszli w ich ślady.

Kiedy znaleźli się w jasno oświetlonej wielkiej sali donżonu, szambelan przyjrzał się dowódcy. Był niższy od Anthony'ego o dobre pięć centymetrów i delikatnie zbudowany. Elegancko skrojony kaftan ze skóry w kolorze ciemnej zieleni nie mógł ukryć jego braku kondycji fizycznej. Miał wąskie ramiona i odrobinę wystający brzuch, a do tego się garbił. U lewego boku nosił bogato zdobiony miecz, u prawego – wysadzany klejnotami sztylet.

Anthony stwierdził, że nawet tak wspaniała broń, nie czyni z tego mężczyzny wojownika. Inna rzecz, że wiedział to już w momencie, kiedy uprzedzono go o tej wizycie.

Rzucił szybkie spojrzenie pozostałym gościom. Wszyscy z wyjątkiem jednego byli wyżsi od przywódcy, muskularni i dobrze zbudowani. Oto prawdziwi wojownicy. Mężczyzna, który wyróżniał się na tle grupy, musiał być spokrewniony z dowódcą – byli podobnie zbudowani i tego samego wzrostu. Anthony zauważył, że przywódca zawahał się, nie wiedząc, w którą stronę ma iść. Szambelan szybko wskazał szerokie schody prowadzące na wyższe piętra donżonu.

– Komnaty króla Duncana znajdują się na pierwszym piętrze – powiedział, a drobny mężczyzna znowu ruszył przodem. – Król wyraża ubolewanie, że nie mógł powitać gości tu na dole, sir. Kolano nadal mu dokucza, więc chodzenie po schodach sprawia mu trudność.

Gość prychnął pogardliwie.

– Czyli nadal jest kulawy, tak?

Szambelan uniósł brew, słysząc obelgę wypowiedzianą tonem pełnym wyższości. Nawet ze sztywnym kola-

nem Duncan pozostawał wojownikiem. Mógłby w każdej chwili sprać eleganckiego gościa na kwaśne jabłko.

– Może już jeździć konno i codziennie spaceruje z psami – odparł, starając się ukryć poirytowanie.

– Ale jak widać, nie może zejść po schodach – odparł mężczyzna.

Tym razem Anthony pozwolił sobie na okazanie niezadowolenia. Zatrzymał się i odwrócił do gościa.

– Nie. Ale jeśli to wam przeszkadza, sir, możemy w każdej chwili odwołać spotkanie. – Spojrzał wyniosłemu mężczyźnie prosto w oczy i nie odwracał wzroku. Pomyślał, że ten nadęty bałwan przyjechał tu prosić o przysługę, więc powinien umieć się zdobyć na odrobinę pokory.

Przez kilka sekund mierzyli się spojrzeniem, aż w końcu gość poddał się, lekceważąco wzruszając ramionami. Anthony pomyślał, że to typowe galijskie zachowanie.

– To nieważne – stwierdził w końcu. – Możemy wejść na górę.

Ruszył po schodach, zaś Anthony, odczuwając lekki przypływ satysfakcji, poszedł tuż za nim. Na szczycie kamiennych schodów wskazał w lewą stronę.

– Proszę tędy, sir.

Znaleźli się pod potężnymi drzwiami, których strzeżęło dwóch zbrojnych. Na widok zbliżających się mężczyzn stanęli w gotowości i zagrodzili drogę długimi halbardami.

– Obawiam się, że wasi ludzie muszą zaczekać, sir – powiedział Anthony.

Drobny mężczyzna skinął głową. Ostatecznie tego należało się przecież spodziewać.

– Może wam towarzyszyć jedna osoba – dodał szambelan.

Gość wskazał mężczyznę, który był do niego podobny.

– Pójdzie ze mną mój brat Louis – oznajmił. Skinął na pozostałych. – Wy zaczekacie tutaj.

– To nie będzie konieczne. Przygotowaliśmy posiłek w komnacie obok – zapewnił Anthony i zawołał: – Thomas!

W korytarzu otworzyły się dalsze drzwi, z których wyłonił się służący w liberii. Skłonił się lekko i zaprosił gości do jasno oświetlonej komnaty.

Przywódca skinął głową, więc ośmiu wojowników podążyło tam, gdzie czekały na nich jedzenie i napoje. Wartownicy rozstąpili się i stanęli na baczność. Anthony zapukał do drzwi.

– Wejść – rozległ się głos ze środka.

Anthony wprowadził dwóch gości do gabinetu króla.

Duncan siedział za dużym stołem.

– Wasza Wysokość – odezwał się szambelan. – Przybyli król Philippe z Gallii oraz jego brat, książę Louis.

Duncan, król Araluenu, podniósł się z miejsca i obszedł stół, by przywitać gości.

– Witam w Araluenie – powiedział, wyciągając rękę.

Philippe uścisnął jego dłoń.

– Dziękuję, że zechcieliście nas przyjąć – odparł.

Duncan zbył te słowa wzruszeniem ramion.

– Powinniśmy zawsze być gotowi pomagać przyjaciołom. – Skinął głową drugiemu z mężczyzn. – Książę Louisie – powiedział.

Królewski brat skłonił się z gracją.

– Wasza Wysokość – odparł i wyprostował się.

Duncan przyjrzał się mężczyznom. Byli wyraźnie zmęczeni po podróży i pokryci pyłem z drogi.

– Jest już późno, a wy przybywacie z daleka. Na pewno jesteście znużeni i głodni.

Philippe lekko wydał wargi i skinął głową.

– To był ciężki dzień – przyznał.

– Wasze komnaty są już przygotowane. Zaraz przyślę tam jedzenie i napoje, a także gorącą wodę do kąpieli, jeśli chcecie się odświeżyć. Wyśpijcie się dobrze, porozmawiamy rano.

Philippe po raz pierwszy się uśmiechnął.

– Będziemy za to niezwykle wdzięczni. Mamy wiele do omówienia.

Duncan przechylił głowę na bok.

– Nie wątpię – odparł.

